

Remigiusz Tabisz

Pokutne życie



Gdy zło rozlało się po świecie, dobro utorowało nowe drogi.

Przypadek, przeznaczenie czy intuicja – co prowadzi nas przez życie? Remigiusz Tabisz w swoich opowiadaniach przedstawia historie ludzi, którzy wśród krętych ścieżek wojennej rzeczywistości i powojennej zawieruchy odnajdywali drogę do siebie. W najtrudniejszych czasach, gdy każdy krok mógł być ostatnim, wzajemne relacje i siła ludzkiej empatii były światłem nadziei, mimo że wokół panował mrok. Szczęście to coś więcej niż sprzyjające okoliczności – to spotkanie z drugim człowiekiem i wzajemne zrozumienie. W obliczu utraty wolności dzielenie się dobrem jest nadrzędną wartością, która pomaga znieść trudną codzienność i zbudować fundamenty dla lepszej przyszłości.

Zgłębianie problematyki poruszanej w książce daje autorowi satysfakcję i jest impulsem do opisywania ludzkich przeżyć. Nieobce są mu sprawy obyczajowo-polityczne obecne w polskim społeczeństwie. Patrzy na nie z pewnego dystansu (nie tylko geograficznego), co pozwala mu lepiej ująć istotę współczesnych problemów.

Remigiusz Tabisz

Pokutne życie


Sorus

Redaktor prowadzący
Wojciech Nowakowski

Redakcja
Bernadeta Lekacz

Korekta
Hanna Jaskuła

Projekt okładki
Martyna Piotrowska

Skład
Maciej Torz

Copyright © by Remigiusz Tabisz 2024
Copyright © by Sorus 2024

Wydanie I, Poznań 2024

ISBN 978-83-68095-38-8

Wydaj z nami swoją książkę!

www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań tel.

+48 61 653 01 43

sorus@sorus.pl

*Nic się nie zdarza,
jeśli nie jest wpierw marzeniem.*

Carl Sandburg

*Opowieść dedykuję mojej żonie Hannie.
Dziękuję*

Wstęp

Jedną z największych wartości człowieka jest wolność, możliwość wyboru. Wybór ten może być jednak spełniony w określonych ramach prawnych, zasadach i obowiązkach określonych w różnych kodeksach, regulaminach czy konstytucji. Jak to wszystko pogodzić, kiedy każdy z nas ma inny charakter, świadomość, okoliczności i zdrowie? Kiedy człowiek przygląda się z bliska ludzkim cechom, jest OK, nie widzi nic strasznego. Dobroć, tak, choć różne są jego oceny, ale to nie wszystko. No właśnie, to skąd się biorą ludzkie dramaty, morderstwa, zabójstwa, bijatyki i wojny? Przyczyną są upadki, choroby, a często wynika to z charakteru i świadomości. Myślą, że te ludzkie cechy są we współczesnych społeczeństwach w poważnym deficycie.

Prawdą jest, że jesteśmy bardziej wyedukowani, bardziej świadomi, mamy więcej narzędzi do uzyskania jakichkolwiek informacji. I cóż z tego, kiedy i nasz przeciwnik-oponent korzysta z tych samych narzędzi, a w dodatku podbudowany jest przebiegłą chytrą, zaborczością, mściwością i wieloma innymi okropnymi przymiotami. Tak rodziły się we wcześniejszej historii zatargi między państwami, bitwy, wojny globalne. Podobno i dzisiaj mamy ich około trzystu na świecie, a jedna z nich to wojna na Ukrainie.

Druga wojna światowa to okres sześciu lat, które wzbudziły moje dziecięce wspomnienia. Miałem szczęście, że poza materialnymi stratami mnie i mojej rodzinie nic szczególnego się nie stało, ale ludzkich dramatów, horrorów i najzwyklejszych cierpień było miliony i o jedno cierpienie za wiele. Polska w wyniku tej wojny utraciła około 12 milionów mieszkańców. Wielu rodaków utraciło swoich bliskich, zostało kalekami, sierotami, straciło swoje majątki. Po drugiej wojnie światowej przez Polskę przetoczyła się istna lawina włóczęgów, żebraków, sierot poszukujących bliskich i swojej tożsamości. Ludzi wychudzonych, pogubionych i płaczących. Znajdowali swoje miejsca, często już nie takie jak dawniej. Zastali już inne, zniszczone, ogołoczone z pól, maszyn i zwierząt, a na dodatek dopadała nas, Polaków, ustrojowa niespodzianka. Opiekunicy sąsiad zza wschodniej granicy i jego moskiewscy mocodawcy. Nowa socjalistyczna, scentralizowana gospodarka, gdzie wszyscy właściciele majątków, fabryk utracili prawo własności. To okres trudnych przemian, nie tylko dla polskiej gospodarki, ale i dla polskiego społeczeństwa.

Tym, którzy ocalili z wojennej pożogi, towarzyszyła niepewność o przyszłość. Co to za ustrój teraz będzie, co za rządy? Jak wiemy, życie nie lubi próżni. Naszą życiową przestrzeń wypełnił nowy, nieznan system ustrojowy zwany socjalizmem. Przez pewną grupę społeczną był uwielbiany, przez innych potępiany, nawet znienawidzony. Nowa władza miała siłę i metody polegające na manipulacji, tworzeniu uprzywilejowanych warstw społecznych. Polska stawała się światopoglądowym dziwolągiem, gdzie w katolickim kraju dyktatorską władzę sprawowała partia marksistowska wspierana przez komunistyczną władzę w Moskwie. Nasza polska wolność i suwerenność zostały zniszczone do zera, ale z drugiej strony rosła też świadomość społeczna. Może trwało to długo, bo aż do sierpnia 1980 roku, kiedy utworzony został Niezależny Związek Zawodowy „Solidarność” z Lechem Wałęsą, ale był to punkt zwrotny do odzyskania przez Polaków wolności i godności.

W tym bardzo wyjątkowym i trudnym czasie, początkiem lat osiemdziesiątych, udało się mi i rodzinie wyjechać do wówczas jednego z najbardziej demokratycznych krajów Europy – Szwecji. Dla mnie to był szok, kiedy zobaczyłem ludzi, sklepy, demokratycznie działający system państwa. Na ówczesne czasy był to kraj dobrobytu, demokracji i wolności, choć sam nie bardzo to rozumiałem. W pierwszym miesiącu pobytu tam zobaczyłem na targu młodego człowieka, który miał na sobie koszulkę ze znaczącym symbolem sierpa i młota. Dopadłem do niego jak dzikie zwierzę i nie bacząc na język, mówię do niego: „Ty to jesteś komunistą! Co to ma znaczyć?!”. Żona próbowała mnie odciągnąć. Mówiła, że to jego prawo, on należy do tej partii, tu tak wolno. Długo nie mogłem tego zrozumieć.

W Malmö była i jest duża miejska biblioteka. Wówczas posiadała ponad pięć tysięcy polskich książek, a w Sztokholmie było ich ponad dziesięć tysięcy. Cóż ja tutaj nie znajduję? Całą polską klasykę, Reymonta, Żeromskiego, Sieńkiewicza, Mickiewicza, tłumaczenia Balzaka, Dickensa, Dostojewskiego, Solżenicyna, którego *Archipelag GULag* bez mała od razu porwałem, wypożyczyłem. Były też takie rarytasy, jak „Kultura Paryska” Jerzego Giedroycia.

Jest wielką prawdą, że człowiek w starszym wieku powraca do młodych lat, nawet dziecińczych. Nazywam to „okresem mojego dziwnego czasu”. Po tej II wojnie było aż nadto tego dziwnego czasu. Myślę, że mieć wolność to dużo, ale i mieć wokół siebie dobro drugiego człowieka to szczęście. Większość z mieszkańców naszego kraju po 1945 roku nie miała świadomości, w jakim znaleźliśmy się systemie, w jakim ustroju. W tym czasie ludzie byli sobie bardzo życzliwi, pomocni. Brakowało wszystkiego, ale nie brakowało pomocnej dłoni drugiego człowieka. Ludzie pomagali sobie we wszystkim, pożyczali konie i narzędzia do uprawy roli, chleb, sól, cukier, mąkę. Było biednie, ale ludzie cieszyli się każdym drobiazgiem i wierzyli, że jakoś to będzie. Ale jakoś to nie było, bo władza ludowa umacniała i rozbudowywała aparat bezpieczeństwa do walki z obywatelami. W tym właśnie miejscu, mając

na względzie opisane przeze mnie epizody, chciałbym przytoczyć mądre i zawsze aktualne słowa więźnia obozu Auschwitz-Birkenau i znanego dziennikarza Mariana Turskiego: „Nie bądź obojętny, aby jakiś Auschwitz nie spadł nam z nieba”. Musimy być czujni i pielęgnować wolność. Umacniajmy bezpieczeństwo państwa i nie pozwalajmy na łamanie prawa, na osvajanie podziałów na równych i równiejszych, bo darem Boga dla człowieka tu, na ziemi, jest jego życie i jego wolność.

Historyczne zale

W mojej opisywanej historii zebrałem opowiadania usłyszane dawno temu, jeszcze w dziecięcej przeszłości mojego kręgu rodzinnego. W pierwszej kolejności obejmę w bardzo ogólny sposób osobliwości fenomenu przemian tego świata. Wielu rzeczy czy zjawisk nie da się w prosty sposób zdefiniować. Istnienia człowieka, wszechświata i zmian w nich występujących, których nawet najwięksi filozofowie, mistycy opisujący funkcjonowanie świata nie potrafili wyjaśnić.

Hipotezy były różnorakie, tłumaczenia astrologiczne, powiedzenia czy przysłowia, że ten a ten to spod jasnej lub ciemnej gwiazdy. W większość istnień ludzkich wszczepiony był i jest kod wiary, istnienie duszy ludzkiej i Boga, a przede wszystkim wielkość samego Boga i wiara w niego. Już w pierwszym zdaniu Księgi Rodzaju czytamy: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię, a sam pozostaje ponad tym wszystkim”.

Nie wiemy, czy wolno snuć tu przypuszczenie, że człowiecza pycha wzniosła się ponad Boże przesłania i przebóstwiła ziemskie zasady ludzkiego żywota. Wiemy od wieków, że to człowiek człowiekowi gotuje morze łez i cierpień. Wymyśla i produkuje konflikty, bitwy i wojny po to tylko, by mieć władzę nad drugim człowiekiem. Z tym okrutnym stwierdzeniem wprowadziłem się w dwudziestowieczny czas, kiedy na skutek demagogii i egoizmów zaczęły się rodzić ruchy socjalistyczno-narodowe, skrajnie prawicowe, o barwach szowinistycznego nazizmu. Namiastki tej tendencji pojawiały się też w międzywojennej Polsce, ale szczególnie podatne podłoże dla dobrego rozwoju zyskały sobie w takich krajach, jak Austria, Niemcy czy Włochy.

W Niemczech silne poparcie społeczne uzyskała populistyczno-nazistowska partia NSDAP pod przywództwem Adolfa Hitlera, w której doktryna ideologiczna zakładała stworzenie silnego państwa totalitarno-imperialnego. Dogmaty tej ideologii zyskiwały swoją siłę już w latach trzydziestych ubiegłego wieku. To Hitler wyłożył je na kilka lat przed objęciem władzy w swojej autobiografii i manifestie *Mein Kampf*. Dzieło Hitlera było przyjęte w świecie dość lekceważąco, mimo że było przetłumaczone na dwadzieścia języków, a przecież autor opisuje w nim fundament rozwoju radykalnego ruchu politycznego, czyli w czystym wydaniu nazizmu, jego kształt i perspektywy rozwoju, a także budowę struktur rasistowskich.

Gloryfikacja białej aryjskiej rasy, nienawiść do innych, a szczególnie do ludności żydowskiej, a nawet postulat całkowitego ich wytepienia. Świat był jakby porażony obojętnością, zlekceważył „wzniosłe ludobójcze apele” Hitlera. Wpajał swoje wizje społeczeństwu niemieckiemu, jak również innym nacjom, z niezwykłą łatwością. Znalazł odpowiednich ludzi i propagandzistów, takich jak Joseph Goebbels, Julius Stiecher, a uwieńczenie tych starań to „pokojowe” umowy i traktaty z wieloma państwami europejskimi, między innymi podpisany z państwem polskim 26 stycznia 1934 roku traktat o niestosowaniu przemocy między państwami, a potem to już tylko wymagania i nakazy, jak Wolne Miasto Gdańsk i części powiatów wokół. Polska winna udostępnić przez swoje terytorium korytarz drogowy i kolejowy łączący Niemcy z Prusami Wschodnimi. Były również roszczenia dotyczące Górnego Śląska, który powinien być wcielony do terytorium III Rzeszy.

Przełomem imperialnych ambicji III Rzeszy było przejście w 1938 roku Austrii, a po niedługim czasie i Czechosłowacji. O faktycznych celach świadczyło podpisanie 28 sierpnia 1939 roku obłudnego traktatu ze Związkiem Radzieckim o wspólnej napaści i podziale terytorium Polski. Porozumienie to było spełnieniem pragnień wodza Józefa Stalina. Wcześniej, 1 września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę. Atak został przypuszczony z dwóch stron – z południa zaatakowała piechota słowacka wraz z dywizją artylerii niemieckiej, z zachodu zaś niemiecka brygada pancerna wraz z kilkoma dywizjami piechoty, artylerii i lotnictwa. Zgromadzone przez Niemców środki przewyższały kilkakrotnie polski potencjał militarny. Ówczesna armia niemiecka, napadając na Polskę, miała w posiadaniu prawie dwa miliony dobrze wyposażonych żołnierzy Wehrmachtu, 2800 czołgów, lotnictwo samolotów szturmowych w liczbie 2200 sztuk, 760 samolotów bombowych i tysiące różnego rodzaju artylerii. Nie wymieniłem tylko floty morskiej, która miała przewagę nad polską flotą. Symbol siły niemieckiej morskiej floty – pancernik „Schleswig-Holstein” – o godzinie 4:47 oddał pierwsze strzały na składnicę broni znajdującą się na półwyspie Westerplatte w Gdańsku. W tym miejscu odbyła się jedna z najwspanialszych i bohaterskich bitew obronnych trwających pełne siedem dni i nocy. Później już dowiedzieliśmy się, że tylko kilkanaście minut wcześniej samoloty szturmowe Luftwaffe ostrzelały Wieluń.

Rozpoczęcie drugiej wojny światowej to nie tylko wypowiedzenie wojny Polsce, ale też słabość polskiej armii i moralna i polityczna państw zachodnich. Polska, jak i inne państwa, miała spore problemy z rozszyfrowaniem zamiarów militarnych Niemiec – sprytna gra polityków III Rzeszy paraliżowała Europę. Nawet wówczas, gdy w początkowej fazie wojny marszałek Polski, Edward Rydz-Śmigły, zwracał się do rządów Wielkiej Brytanii i Francji o rozpoczęcie działań zaczepnych w stosunku do Niemiec, co wymusiłoby przemieszczenie części wojsk niemieckich atakujących ziemie polskie. Tak się jednak nie stało, a polskie społeczeństwo doświadczyło represji i terroru.

Władze nazistowskie miały doświadczenie, jak ujarzmić społeczeństwo za pomocą nakazów policyjnych i wojskowych. Administracja państwa i władze lokalne szybko znalazły się w rękach Niemców. Priorytetem była likwidacja wszelkiego typu ruchu oporu i polskiej inteligencji. Władze okupacyjne mogły tego dokonać dzięki otwarciu specjalnych obozów pracy, a później i obozów śmierci. Jednym z pierwszych był powstały już jesienią 1939 roku obóz w Stutthofie. Wiosną 1940 roku rozpoczął funkcjonowanie Gross-Rosen, na południe od Wrocławia, następnie zaś osławiony okrucieństwami Auschwitz-Birkenau. Zwyczajni ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że ciężko będzie to wszystko przeżyć, że stracą swoich bliskich, zostaną osierocony i kalecy. Wiadomości o tych zmianach w zależności od regionu rozchodziły się lepiej lub gorzej. Tylko nieliczni polscy posiadacze własności, na przykład gospodarze ziemi na wsi, będą musieli przekazywać bezpowrotnie ową własność niemieckim obywatelom.

Taka wiadomość dotarła do mojej mamy Salomei od dobrego i zaufanego człowieka, jakim był we Wronowach Stanisław Nowakowski. Znajdował się on na niemieckiej liście osób podejrzanych. Jego informacja oczywiście się sprawdziła, i to z nawiązką. W naszej wsi Wronowy od czasu pierwszych zaborów do początku 1939 roku zamieszkiwała mniejszość niemiecka. Na czterdzieści trzy wronowskie domostwa dwanaście stanowiły niemieckie gospodarstwa z właścicielami mieszkającymi tam od dziesięcioleci, od wczesnych lat zaboru pruskiego. Byli to: Bichler, Yeske, Kapell, Schymke, Feydorf, Sögler, Bekert, Krugier, Koscieleska, Donday i Veytrych. Wcześniej nie sprawiali oni większych problemów, chociaż w szkole podstawowej we Wronowach Niemcy z Wronów i okolicznych wsi mieli prawo do uczenia się własnego języka, a wiele dzieci i młodzież utrzymywała normalne kontakty z Polakami. Mój tata Henryk opowiadał, że kolegował się z rówieśnikami rodziny Donday, gdzie było dwóch braci. Jednak latem 1939 roku koledzy ci zostali powołani do wojska niemieckiego i od tego momentu wronowscy Niemcy jakby odwrócili się, bardziej się izolowali, tworzyli własną enklawę. Zbierali się u Dondayów, by prawdopodobnie omawiać, co, gdzie i kogo z lokalnej społeczności wziąć na policyjny warsztat, a potem może i do obozów.

Dopiero w połowie sierpnia ludzie po wsiach zaczęli śmiało rozmawiać o zbliżającej się wojnie. Rozpovídano o różnych zagrożeniach, a nawet o kataklizmie, który zbliża się nieuchronnie. Część starszych ludzi pamiętała czasy zaborów i uważała, że taki stan może powrócić, zaś co świątlejsi sądzili, że teraz są inni Niemcy, którzy chcą budować nowy ład, nowy porządek w oparciu o założenia wyznaczone w dziele Hitlera *Mein Kampf*, dotyczące nowej aryjskiej nacji, kreślące zręby ideologii faszystowskiej. Mimo wielu polowych robót, przygotowań do zasiewów, małych wykopków ludzie robili zapasy żywnościowe w postaci mąki, soli, oleju, smalcu. Do mojego taty ustawiła się kolejka gospodarzy chcących przerobić rzepak na olej,

bo nasze gospodarstwo posiadało cały olejarski komplet do jego produkcji. Ludność polska była niedostatecznie przygotowana i poinformowana, jak postępować w przypadku militarnego ataku Niemiec na Polskę.

Pod koniec sierpnia 1939 roku miała miejsce militarna mobilizacja. Tata, mający wówczas trzydzieści lat, razem z moją mamą prowadził po rodzicach 23-hektarowe gospodarstwo. W tym czasie w domu Tabiszów poza małżonkami był już ponadroczny syn Bernard, Benek, a mama była też w szóstym miesiącu ciąży. Rozwiązanie miało nastąpić na początku grudnia 1939 roku. Tata dostał kartę mobilizacyjną, aby w ciągu 24 godzin stawić się w jednostce wojskowej w Inowrocławiu na ulicy Dworcowej, czyli 35 km od Wronów. Była tam jednostka piechoty i artylerii lekkiej. Upłynęło zaledwie parę dni, a cała inowrocławska brygada piechoty w pełnym rynsztunku przesuwała się w kierunku Bydgoszczy, gdzie miała mieć przystanek gdzieś w lesie pod miastem.

Zanim będę kontynuował opis tej wojskowej akcji spod Bydgoszczy, przedtem zarysuję sytuację rodzinną we Wronowach. Jak wspominałem wcześniej, 1 września 1939 roku atakiem na Polskę rozpoczęła się druga wojna światowa.

Na moją mamę spadł ciężar odpowiedzialności za utrzymanie gospodarstwa, małego dziecka, Benka, i zadbanie o siebie i o mnie, który znajdowałem się w jej łonie w tym najtrudniejszym okresie w Polsce. Natłok emocji był tak duży, że nie doczekałem dziewięciu miesięcy, ale o tym później. W domu mieszkali też rodzice taty, dziadek Bartłomiej i jego żona Izydorka, a także ich najmłodszy syn Zdzisław mający wówczas siedemnaście lat. W przybudówce domu, gdzie była kuchnia i pokój, mieszkało małżeństwo Piaskowskich – Stefan i Stanisława z pięcioletnią córką Dorotką. Rodzina ta pomagała w gospodarstwie.

Czas wojny to nie tylko wejście okupanta, ale przede wszystkim podporządkowanie sobie społeczeństwa i wprowadzenie nowego ładu i porządku publicznego. Nowa administracja, policja, nowi naczelnicy dworców kolejowych, poczty i szkół. Nie działały żadne polskie instytucje, a polscy nauczyciele jako klasa inteligencka podlegali ostremu reżimowi lub też zsyłkom do obozów. Także ówczesny kierownik szkoły podstawowej we Wronowach, Józef Ledworowski, zmuszony był ukrywać się w tak zwanych podziemiach, oczywiście wraz z rodziną, a miał już troje małych dzieci. W tym nieszczęściu mieli trochę szczęścia. Znaleźli skromne miejsce w małej miejscowości nad jeziorem Gopło koło Kruszwicy. Jak opowiadała rodzina, nauczyciel Ledworowski wczesnym rankiem wychodził z domu i krył się w gęstwinach nadgoplańskich krzewów i trzciny, gdzie miał sprytnie zakamuflowaną kryjówkę, która uchroniła go prawdopodobnie od niechybnej śmierci czy zsyłki obozowej. Ta kryjówka była trudno dostępna, ale miała dach, bo mieściła tylko sprzęt rybacki, siano i słomę tamtejszego rybaka, który rzecz jasna o tym wiedział, bo tak sobie ludzie pomagali.

Stanowisko sołtysa we Wronowach zostało w polskich rękach przynajmniej tymczasowo, bo pan Konieczka dobrze znał niemiecki. Już w połowie września rozchodziły się wspomniane przeze mnie wcześniej pogłoski, że więksi gospodarze będą musieli przekazywać swoje posiadłości niemieckim właścicielom, czyli sprawdzały się wcześniejsze doniesienia Stasia Nowakowskiego o odbieraniu Polakom ich własności, ich ziemi. Upłynęło zaledwie parę dni, a na podwórko Tabisza wjechali rowerami sołtys Konieczka i niemiecki policjant ze Strzelna, Stuicher. Najpierw policjant kazał sołtysowi Konieczce zrobić przegląd inwentarza, to znaczy krów, koni, świń, owiec i innych zwierząt. To wszystko działo się bez wcześniejszego powiadomienia rodziny, dlatego psy oznajmiały to natarczywym ujadaniem. Tak, pies doskonale wyczuwa, jaki człowiek wchodzi w jego rewir.

Przed dom wyszła mama z dziadkiem Bartłojem. Policjant Stuicher skierował się w ich stronę energicznym krokiem.

– Wer is der Gastgeber hier? [Kto tu jest gospodarzem?] – zapytał.

Mama znała język niemiecki i odpowiedziała krótko:

– Ja.

– A ten pan to kto? – Wskazał ręką na Bartłoję.

– Des ist mein Vaterman [To jest mój teść].

Potem jeszcze chciał się dowiedzieć, czy mój tato został powołany do wojska i gdzie.

– Nie wiem – padła odpowiedź.

Policjant pomruczał coś pod nosem i wycedził:

– Wy nie rozumiecie niemieckiego narodu. To jest dla was za trudne.

Sołtys Konieczka przyszedł, ukłonił się z szacunkiem do rodziny Tabiszów – był przecież ich dalszym sąsiadem – przekazał policjantowi spis zwierząt. Ten obejrzał go z dwóch stron.

– Ja gott – podał mamie, pytając, czy chce coś uzupełnić.

Mama odpowiedziała, że nie. W takim razie poprosił ją, by podpisała spis, i dodał, że od dziś nie wolno im było niczego sprzedać ani zabijać. Wszystko, co znalazło się na tej liście, było już niemieckie. Kiwnął ręką na sołtysa. Wsiedli na rowery i pojechali, nie mówiąc nic więcej. Mama obróciła się do dziadka Bartłoję i powiedziała ze łzami, że to koniec. Dziadek pocieszał ją, że może nie będzie tak źle, i położył rękę na jej ramieniu.

– Ty, Salka, najpierw musisz urodzić, potem z Bożą pomocą jakoś z tego wybrniemy.

W niedzielę 1 października przed południem przyszła siostra mamy, Janinka z Nowej Wsi. Mama jakoś dziwnie się czuła, ale wysłuchiwała wieści od swojej siostry, które niestety nie były radosne. Mówiła ona, że w miniony piątek przyjechał na wieś ciężarowy samochód, a drugi z kilkoma żołnierzami. Wyciągali z domów

chyba wszystkich młodych ludzi i wywieźli nie wiadomo gdzie. Podobno gdzieś na roboty do Niemiec, ale tak naprawdę to nikt nie miał pojęcia, jaki był ich los. Najgorsze, że młodszy brat Janek, który miał dwadzieścia dwa lata, też został zabrany. Nawet nie zdążył zabrać nic na drogę. Jego mama wcisnęła mu tylko ciepłą kurtkę, i to już w biegu. Janinka jako siedemnastoletnia dziewczyna też podlegała wywózce, ale akurat w ten dzień poszła z młodszym, dwunastoletnim bratem Józkiem do lasu zbierać chrust. Tym razem się jej upiekło, więc miała szczęście, ale nie było wiadomo, jak to się ułoży w przyszłości. Najstarszy brat mamy, Stanisław, był na froncie. Niemcy chcieli zabrać też brata mamy Franka, ale wydawał się im człowiekiem niepewnym, o wątpliwym zdrowiu, więc dali mu spokój. Na odchodnym powiedzieli, że i ci, którzy zostają w domu, będą mieli szansę budowania „wielkich Niemiec”. Jeszcze przed wieczorem mieli pełną ciężarówkę przerażonych młodych mężczyzn i kobiet.

Z wielkim przygnębieniem moja rodzina wysłuchiwała tych okropnych wiadomości. Mama była zajęta w tym czasie karmieniem małego Benka – miał półtora roku – jednak część tych wieści do niej dotarła. Zaczęła się kurczyć, dostawała już pierwsze bóle, ale zdawało się to niemożliwe, bo przecież do porodu były jeszcze dwa miesiące. Ocknęła się. Potem, gdy już Janinka wychodziła, dopytała o to, czy Janek chociaż wziął coś na drogę do jedzenia. Mama mojej mamy coś tam w torebkę włożyła, ale czy nie odebrali mu tego?

Mama ponownie poczuła się bardzo niedobrze i poszła się położyć. Po raz trzeci złapał ją ból, tym razem dość ostry. Przychodził i odchodził. Już wtedy wiedziała, że będzie rodzić, wątpiła tylko, czy da radę. W kuchni krzątała się służebna Stanisława. Mama donośnie zawołała:

– Staaasia, biegnij po sąsiadkę Czyszową! Chyba będę rodzić.

Stasia nawet fartucha nie ściągnęła i w parę minut dwie kobiety stały przy mamie, gotowe do usłużnej porodowej pomocy. Elżbieta Czysz była prostą, zwykłą i bardzo uczynną kobietą, ale miała też spore doświadczenie, bo sama już czworo dzieci urodziła i będąc jeszcze w Ameryce, pomagała przy porodach. Mama czuła się przy niej bardzo bezpieczna. Pani Elżbieta sprawdziła etap porodu, a Stasi nakazała przyniesienie podgrzanej wody w dużej misce. Sama przysiadła obok leżącej mamy i stanowczo powiedziała:

– Salka, głęboki oddech, raz, dwa, trzy i ponownie...

Stasia zdążyła przynieść wodę, ręczniki, mydło i małe niemowlę o bardzo wątłej budowie było już w rękach pani Elżbiety.

– Jeszcze pępowinę uporządkujemy i możemy kłaść na ręcznik.

Dopiero teraz otworzyła się buzia małego sinawego człowieczka i wydał piskliwy płacz – znak, że on tu jest na świecie. Owym onym jestem ja, dziś osiemdziesięcioletni starzec, który trzyma się jeszcze możliwie krzepko.

Powróćmy jednak do tych niezwykłych, ale zarazem ciężkich okupacyjnych dni. Nawet mama mimo wysiłku, zmęczenia i bóleści wyraziła swoją radość lekkim uśmiechem. Delikatnie złapała panią Elżbietę za rękę i wyszeptowała:

– Dziękuję. Wielkie dzięki, moja sąsiadko.

Zaraz i babcia Izydorka zapytała usłużnie, czy coś przygotować do zjedzenia.

– Pani Tabiszowa – powiedziała – dzisiaj proszę tylko podać herbatkę z sokiem malinowym i trzymać oko nad tymi dwoma. – Pokazała na leżącą mamę i tulące się już do jej piersi małe niemowlę.

To była jedna z najdziwniejszych niedziel, jak mi później moja mama opowiadała:

– Był taki moment, jakbym wpadła w jakąś dziwną otchłań i obudziła w innej rzeczywistości, bo wszystko przyszło tak niespodziewanie, tak nagle, ale i też szczęśliwie. Byłam przygnębiona traumą, brakiem męża, sytuacją trwającej wojny, okupacją, istnieniem ludzkich nieszczęść. Wszystkie uzbierane emocje wzbudziły tak psychikę i organizm, że musiało nastąpić rozwiązanie, nastąpił przedwczesny poród.

Byłam delikatnej budowy, koloru lekko sinawego, ale żywy i zdrowy. Może miałem trochę więcej niż dwa kilogramy. Mama mówiła, że dobrze, że ma pokarm, bo dzięki temu może stanę na nóżki.

Po kilkunastu dniach odwiedził nas ponownie sołtys Konieczka.

– Jak wchodzicie, sołtysie, to mnie ciarki przechodzą, a dzisiaj to aż się boję zapytać, z jakim to nakazem przychodzicie.

– Ja, pani Tabiszowa, to sam mam ciarki i ciężkie dreszcze mnie przechodzą, bo tak mnie te niemieckie urzędasy paskudztwami częstują. Przez to sołectwo to jeszcze jakiejś choroby się człowiek nabawi. Teraz to już ze spaniem mam kłopoty. Kiedy się to skończy? – Spuścił głowę. – Całe zło ludzie we mnie widzą, a przecież ja nic nie mogę, a dzisiaj dla was, ale nie tylko dla was, mam też przykrą wiadomość, o której dowiedziałem się potajemnie. Wy i siedmiu innych gospodarzy za około siedem, osiem dni będziecie musieli opuścić swoje domostwa. Pozostało niewiele czasu, aby się do tego przygotować, a podczas mojego liczenia inwentarza spisałem mniej, tak że możecie sobie to trochę gdzie wywieźć. To chciałem wam tylko powiedzieć i tylko tyle mogę wam pomóc.

W zbitym przez dziadka Bartłomieja prowizorycznym korytku zaczęło pisać dziecko. Sołtys Konieczka teraz to zauważył.

– No tak, przecież ty, sąsiadko, byłaś w stanie błogosławionym i tak niespodziewanie urodziłaś?

– Wybaczcie mi, ale powiem trochę nieładnie, a no tak, jak wy z takimi policjantami będziecie do nas przychodzić, to nie tylko będziemy przedwcześnie rodzić, ale i przedwcześnie umierać.

– Już dobrze, pani Tabiszowa. Pokażcie lepiej to wasze płaczące maleństwo.

Na prośbę sołtysa Konieczki mama pochyliła się nad korytkiem i wzięła w ręce małe dzieciątko wraz z okryciem. Płacz dziecka wyciszył się, przytuliła je do piersi. Sołtys zdążył zerknąć na dziecko, popatrzył na mamę i mówi:

– Niech wam się chowa jak najlepiej, ale radzę wam ochrzcić je jak najprędzej.

Dzisiaj mogę powiedzieć, że sołtys przewidywał dla mnie bardzo krótki żywot, widząc tak biednie wyglądające niemowlę. Na szczęście jego przewidywania nie były trafne.

– Zostańcie z Bogiem. – Obrócił się i poszedł.

– Boże, Boże, mało mamy zmartwień? Mamy uciekać ze swojego domu, kryć się jak dzikie zwierzęta po norach, kątach czy jeszcze gdzieś?

Otworzyła drzwi do dziadków – tak często w skrócie określała pokój babci i dziadka. Była zatrwożona. Oboje spojrzeli ze zdziwieniem i zapytali, czy coś się stało.

– Nie, nie wiem, jak to powiedzieć, ale powiem krótko, musimy uciekać z naszego domu, i to już za parę dni.

– Gdzie? – podniósł głos dziadek Bartłomiej.

– Tęgo niestety nie powiedzieli. Ja zajmę się dziećmi, a wy powiedzcie Stefanowi, żeby ładniejsze ziemniaki do worków włożył. Musimy zrobić jakiś plan ratunku na najbliższy czas.

Mama wzięła sobie do serca słowa sołtysa Konieczki. Może i ma rację. Lekarzy nie ma, pomocy żadnej innej też nie ma. Nad rodziną zawisła dziwna, czarna przypadłość. To jednak nie czas na biadolenie, tylko trzeba szybko działać, coś robić. Wieczorem wspólnie z teściami, Izydorką, Bartłomiejem i ich synem Zdzisławem, ułożyli plan, co i jak robić, aby efekty były praktyczne i skuteczne, by nie wpaść w jakąś stresową pułapkę. Młody, ale dojrzałe myślący Zdzisiu zaczął:

– Twoje dziecko, Salomeo, jest wątłe i potrzebna jest jemu Boża Łaska, może jak najszybciej. Kościół Niemcy mogą zamknąć, proboszcza naszego wywieźć, więc zamawiajmy jak najszybciej ten chrzest. Dla tego malucha to ja proponuję ciekawe imię. Miałem w inowrocławskim Gimnazjum Kasprowicza sympatycznego kolegę, któremu było na imię Remigiusz, a mówiliśmy różnie, Remek, Renek czy Remi. Co wy na to?

– A czy to aby katolickie imię? – zapytała babcia Izydorka.

– Tak – odparł Zdzisiu. – Był taki biskup francuski, który został wikariuszem Rzymu i w V wieku otrzymał miano świętego biskupa Remigiusza.

– Zabrzmiało i ładnie, i wiarygodnie, więc jutro trzeba zawiadomić księdza Januszewskiego – zakończyła mama.

– A kto będzie rodzicami chrzestnymi? – dopytał dziadek Bartłomiej i zaraz dodał: – Może nasza córka Marysia z Rzeszyna i ktoś z twojej rodziny, Salomeo? Może Franciszek?

– Rzeczywiście, tak może być. Zdzisiu, jutro po śniadaniu pójdziesz na plebanię i zapytasz naszego księdza proboszcza o możliwość jak najszybszego terminu chrztu,

potem udasz się do siostry w Rzeszynie i powiesz o naszym zaproszeniu Marysi na chrzestną.

– Do Nowej Wsi wyślemy wieczorem Stefana. On ma tam swoją rodzinę, to i do Salomei rodziny podjedzie. Tam też zabierze worek mąki, kilka worków ziemniaków, brukiew, marchew, groch i co tam jeszcze. Lepiej porozdawać naszym polskim rodzinom, niż zostawić nigdy nienasyconym germańcom – wyłożył z przekąsem dziadek Bartłomiej.

Ksiądz proboszcz Jan Januszewski wyznaczył w czwartek 18 października o godzinie jedenastej termin chrztu małego Remigiusza.

Codziennie z różnych stron dochodzą frontowe wiadomości od ludzi posiadających radia. Może setki ludzi zginęły w Bydgoszczy i Grudziądzu. Ciężkie walki toczyły się z wojskiem niemieckim pod Radziejowem, a teraz w okolicach Kutna i nad Bzurą. A gdzie mój tato i mąż Salomei? Na razie cisza, nie ma żadnej wieści. Dzisiaj spadła mała gwiazdka. Do rodziny Tabiszów przyszedł młody dwudziestoletni Marian Niestatek i mówi do mamy tak:

– Mimo tej całej strasznej wojennej rzeczywistości mam dla was, Tabiszowa, dobrą informację. Wczoraj byłem w Strzelnie i otrzymałem od pani Pieczyńskiej wiadomość, że jej mąż i jeszcze pięcioro innych, a w tym jest dwoje z Wronów, są umieszczeni jako jeńcy wojenni w barakach koło Pabianic pod Łodzią. Ten ktoś napisał, że jest tam Tabus i Statek z miejscowości Wronowy. Nie wiem, czy to dla zmylenia, bo i inne nazwiska są też poprzekręcane. To dobry znak. Oni tam ze Strzelna chcą tych swoich tam odwiedzić i ja z moją mamą też bylibyśmy zdecydowani, abym i ja jechał rowerem, ale samemu to wiecie... – i zawiesił głos.

– A daleko to stąd? – zapytała mama.

– No będzie ze 120–130 km, bo jakby tak Zdzisław ze mną jechał, byłbym z tego bardzo rad, a nie wiem, czy wiecie, że Niemcy mają wyrzucić kilku gospodarzy ze swoich posiadłości, między innymi Gronka, Walusiaka, Wojtkowskiego, Laseckiego, Żółkiewicza i...

Jeszcze nie skończył, a mama dodała:

– ...i nas też.

– Pani myśli, że to będzie koniec?

– Panie Niestatek, dziękuję za informację. Ja tę sprawę muszę omówić ze Zdzisiem i jego rodzicami. Przyjedziesz jutro, to ci odpowiem, ale to bardzo mądra myśl.

– Przyjadę, ale naprawdę to nie ma co czekać. Do widzenia.

Mama zawołała swoją pomocnicę Stasię.

– Słuchaj, nie mamy dużo czasu. Jak możesz, to od razu trzeba zabić trzy kaczki i koguta. Zrobimy czarninę, a mięso włożysz na dwie duże blachy do chlebowego pieca. Pamiętaj, trzeba przyprawić sporą ilością przypraw: majeranku, czosnku, pieprzu, cebuli i jabłek, przykryj cienką blachą.

Była taka metrowa aluminiowa blacha, co chroniła od przypalenia pieczone mięso w dużym piecu.

– A co to, wesele czy co?

– W czwartek musimy ochrzcić małego Renia, bo z nim nic nie wiadomo. No i my będziemy musieli się rozstać, a jak będzie wyglądało dalsze nasze życie? Tego nikt nie wie.

– A co z nami? – dopytała Stasia.

– Ani policjant, ani sołtys Koniczka nie powiedzieli. Może będziecie służyć Niemcom, jeśli sobie tego zażyczą? My musimy przygotować ucieczkę. Gdzie, zobaczymy. Część produktów już dzisiaj Stefan zabierze do Nowej Wsi.

Już po obiedzie Stefan worki z ziemniakami na wóz ładował – pół worka mąki do Erdmanów, pół do Stefana rodziny, groch, jabłka, śliwki suszone, a mama kazała nawet zabrać łóżko i pościelę, bo może w ostatnim dniu czegoś nie zdążą zabrać. Wieczorem wszyscy byli już w domu wraz ze Zdzisławem, który przyjechał pociągiem z Rzeszyna. Mama przedstawiła sprawę męża. Wszyscy byli tym przyjemnie zaskoczeni, bo jest w obozie i żyje. Dziadek Bartłomiej dodał:

– Tu nie ma co się oglądać. Im więcej się dowiemy, tym lepiej. Może potrzebuje jakiejś pomocy i wsparcia.

Zdzisław to nawet przyjął tę wyprawę z entuzjazmem:

– Tylko muszę pożyczyć rower od Stachowicza. Oni mają prawie nowy, a ja im dam na ten czas nasz rower. No i muszę poszukać jakiejś mapki, bo to przecież kawałek drogi.

Tak naprawdę mama w tym trudnym dla siebie i rodziny czasie otworzyła cztery fronty walki o byt, o przetrwanie. Nie, to nie mama otworzyła, one się same otworzyły. Po pierwsze, maleństwo trzeba jak najszybciej ochrzcić. Czas był bardzo napięty, więc Zdzisław chciał do swojego brata jak najszybciej jechać, ale i jak najsubtelniej się przygotować. Nie ma pewności jutra, bo tu na naszej ziemi jest najeźdźca, który ma jeden cel: poddaństwo, zniewolenie i wyniszczenie narodu.

Kiedy późnym wieczorem chłopcy zasnęli w swym niemowlęcym śnie, mama siedziała na brzegu łóżka, patrzyła na ich spokojny oddech i pomyślała:

– Dobrze choć, że wy nie wiecie, w jakim paskudnym czasie żyjemy, jak niejasna przed nami wszystkimi przyszłość.

Westchnęła i powiedziała:

– Boże, pomóż nam przejść przez tę szarugę wojenną, ocalić nasze rodziny, nasze dzieci.

Była tak bardzo tym umęczona i przygnębiona, że w ułamku sekundy przymknęły się jej powieki, przechyliła się na poduszkę, wzdłuż malutkiego Benia. Zasnęła.

W tym śnie weszła do wielkiego starego lasu, gdzie po bokach duktu dziwne ptaki zbudowały swoje ptasie domy z mchu i piór, a w nich znajdowały się pisklęta krzyczące:

– Jesteśmy głodne! Chcemy jedzenia!

Jedno piskłę wypadło. Mama chciała je podnieść, a tu wrzask jeszcze większy wzniosł się wokół.

– Chcę wam tylko pomóc – zawołała.

Chciała coś jeszcze zrobić... Zbudził ją płacz chłopców. Przerwał jej senny krajobraz. Beniu odkopał swą „kupkowatą” pieluchę, obudził młodszego brata i taki to krzyk „ptasi” przywołał mamę do codziennej szarej rzeczywistości. Wiele tych obolałych i ciężkich decyzji zostało uruchomionych. W dzień chrztu małego Remigiusza Zdzisław wczesnym rankiem wraz z Marianem Niestatkim wyruszyli w długą rowerową podróż do Pabianic, bo w tym przypadku też każdy dzień się liczył. Jesienne dni mogą smagnąć już chłodem, wiatrem i deszczem. Czwartek był pochmurny, ale bezdeszczowy. Już o dziesiątej na podwórzu zajechał wóz z chrzestnym Franciszkiem, dwudziestodwuletnim bratem mamy, i jej siostrą Janinką. Przyjechali wozem. Byli zdania, że mogą coś jeszcze zabrać do Nowej Wsi, do rodziny mamy, gdzie planuje się wraz z dziećmi przeprowadzić. Potem i siostra taty, Marysia, wraz z uroczą ośmioletnią córką Łucją przyjechały bryczką. Weszły do kościoła. Za nimi mama i chrzestni z malutkim adeptem religii katolickiej. Od początku znosił dzielnie obecność wronowskiego proboszcza. Nawet znak krzyża robiony przez księdza na czole nie robił na nim wrażenia. Dopiero polanie święconą wodą głowy poruszyło jego wrażliwość i zbuntował się płaczem, ale tylko na chwilę, bo już przy słowach: „Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i... od tej chwili Wasze dziecko o imieniu Remigiusz należy do Kościoła katolickiego” szanowny członek Kościoła już się wyciszył, co chrzestni i mama przyjęli z ulgą.

Przyjazd z kościoła, obiadowy poczęstunek, potem rozmowy, biadolenia, przeczuwanie nadchodzącej okupacyjnej rzeczywistości. Co nas czeka, co z naszym narodem, naszą Polską, kiedy to się skończy? Uczestnicy tej skromnej uroczystości już wiedzieli, że Związek Radziecki zajął część wschodniej Polski i robi czystkę w polskiej inteligencji, wywożąc elitę kraju na wschód, a może dalej, za Kaukaz, na Sybir. Małe było pocieszenie, że na razie ani w Rzeszynie, ani w Nowej Wsi nie słyszy się o wysiedlaniu z domostw czy gospodarstw, jednak wśród mieszkańców był duży niepokój. Goście się rozjechali, pozabierali część drobiu, zboża na przemiał.

Wyjątkowy żal targał dziadkiem Bartłojem, kiedy przychodził do obory czy stajni. Zwierzęta go znały jak nikogo innego. On do nich mówił, a one go rozumiały. Każda krowa miała swoje imię, podobnie konie.

– A teraz jak to będzie, kiedy wy nic po niemiecku nie rozumiecie?

Poklepywał je po ich gładkiej sierści. Usiadł przy korycie, klepał po grzbiecie, a one skręcały porozumiewawczo swoje głowy w jego stronę.

– Co z wami teraz będzie? Obiecuję, że wrócę jeszcze do was.

Dopiero w poniedziałek po obiedzie zjechali sołtys Konieczka i posterunkowy Stuicher. Tym razem zapukali do domu. W kuchni był dziadek Bartłomiej ze swoją żoną Izydorką.

– Guten morgen! Chcielibyśmy rozmawiać z gospodarzem.

Dziadek Bartłomiej przerwał policjantowi i powiedział:

– Bitte warten Sie. Przepraszam, zawołam gospodynię Salomeę, która karmi akurat swoich synków.

Słyszac niemiecką rozmowę, mama weszła z małym Renkiem na rękę i przyczepionym do spódnicy Benkiem, powiedziała grzecznie „Guten morgen”. Policjant wskazał na pismo położone na stole i spojrzal kątem oka na dziecko trzymane na rękę.

– Fur diser Kind wird des Leben ein Wunder sein [Dla tego dziecka przeżycie będzie cudem]. A tu macie nakaz władzy niemieckiej.

Spojrzal jeszcze na obecnych i dopowiedział:

– Do godziny dwunastej w środę 24 października cała rodzina Tabish musi opuścić to gospodarstwo.

Mama spytała po niemiecku:

– A gdzie ja się podzieję z dziećmi?

Policjant na to:

– To nie jest problem niemieckich władz.

Prawdę mówiac, bez sensu było pytać o to okupantów. Jeszcze tego wieczoru ułożyli plan, co i kiedy robić. Stefan jutro zawiezie mamę i potrzebne rzeczy, trochę mebli i dzieci do rodziny Erdmanów w Nowej Wsi. Pojutrze w środę dziadków, to znaczy Izydorkę, Bartłomieja, i ich syna Zdzisława, który powinien zdążyć wrócić z podróży do Pabianic. Przyszedł jeszcze pomocnik gospodarski Stefan, a po chwili i żona z ich córeczką Dorotką.

– A co z nami? – zapytał.

– Może będziecie Niemcom potrzebni. Sołtys Konieczka przecież was zna, ale nikt nic o was nie wspomniał, więc spokojnie siedźcie. Zostało sporo mąki, grochu. Zróbcie masło, pieczeń z drobiu na wszelki wypadek. My niestety musimy was opuścić i prosilibyśmy jeszcze Stefana, aby jutro po obiedzie zawiózł mnie z dziećmi do Nowej Wsi, do moich rodziców, a w środę przed obiadem teściów, mamę Izydorkę i ojca Bartłomieja, do Rzeszyna, do ich córki Marysi.

Niezwykle trudnej i ważnej misji dokonał Zdzisław, jadac ze znajomym rowerami do Pabianic pod Łodzią, to jest 130 km od Wronów, do niemieckiego obozu dla jeńców wojennych. Do męża Salomei i starszego brata Zdzisława, Henryka. Ich podróż była pełna emocji. Przejazd i droga trudna, jednak doprowadziła ich do tego „zacnego” miejsca. Droga żołnierza, starszego szeregowego Henryka, była o wiele dłuższa i rzecz jasna bardziej niebezpieczna, jako że miała charakter militarny, polityczki z bardzo silnie uzbrojonym przeciwnikiem. Po przybyciu do jednostki woj-

skowej w Inowrocławiu, należącej do Pomorskiego Pułku Piechoty, w której został wyposażony w wojskowy mundur, plecak, saperkę i karabin typu lekkiego WZ29 oraz zaprzęg konny z ładunkiem na wozach, ruszył w kierunku Bydgoszczy zwanej po niemiecku Brombergiem. Dowództwo wojskowe otrzymało informację, że właśnie tam pod koniec września wytworzyła się bardzo groźna sytuacja, a w zasadzie to wytworzyli ją Niemcy mieszkający w tym mieście.

W tym czasie miasto liczyło 150 tysięcy mieszkańców, w tym około 12 tysięcy mniejszości niemieckiej, która miała własne szkoły, kościoły, zbory ewangeliczne, sklepy, zrzeszenia i związki. Mieszkający w Bydgoszczy Niemcy utworzyli Deutsche Nationale Befreiungsuion (Komitet Wyzwolenia Narodowego), który po wcześniejszym uzbrojeniu i przeszkoleniu swoich ochotników miał ambicje objęcia władzy samemu, bez użycia wojsk Wehrmachtu. Niemieccy uzbrojeni aktywiści pochodzili nie tylko z Bydgoszczy, ale z okolicznych miejscowości.

Polacy wiedzieli o tych „wielkich planach” i dlatego 2 i 3 października doszło do groźnych potyczek zbrojnych w różnych częściach miasta. Najmroczniejszym dniem była niedziela 2 października 1939 roku zwana „bydgoską krwawą niedzielą”, kiedy to zginęło przypuszczalnie około czterystu polskich cywilów i osiemdziesięciu Niemców. Polscy żołnierze brali jedynie udział przy oczyszczaniu miasta z trupów, ewentualnie pomagając rannym. Wojska Wehrmachtu tylko czekały na to, by z polskiej strony padły strzały. Wówczas ofiar byłoby dziesięciokrotnie więcej. Niemcy w ciągu paru dni opanowali wszystkie urzędy administracyjne miasta, w tym dworce kolejowe, poczty i sądy. Kilka miesięcy później dopadli winnych krwawej niedzieli, a korzystając z panującego bezprawia, dokonali eksterminacji bydgoskiej inteligencji, zsyłając jej dużą część – prawników, nauczycieli, księży – do obozów lub po prostu rozstrzelując.

Tam właśnie, w Bydgoszczy, mój tata jako żołnierz wraz z innymi żołnierzami zbierali z ulic rannych i zabitych, wspomagając ich rodziny. Wiele rodzin w Bydgoszczy przeżywało tragedie i cierpienia. Jedno z wydarzeń było szczególnie wyjątkowe. Wieczorem zjeżdżali końmi do ulokowanej w lesie jednostki. Przy wyjeździe z dzielnicy Szwederowo dobiegła do nich zdyszana kobieta i już z daleka krzyczała coś i wymachiwała rękami. Żołnierze stanęli i pytali, o co chodzi. Pokazała ręką, że tam, za rowem, w zaroślach, był betonowy bunkier i coś w nim dudniło. Podejrzała, że tam mogą być ludzie. Żołnierzy było troje. Zawrócili konie, przeskoczyli przez rów. Podeszli do betonowego schronu i faktycznie słychać było już rzadkie uderzenia w żelazne drzwi. Uchwyt do otwarcia ani drgnął. Dwaj żołnierze szybko ruszyli końmi do wojskowej jednostki, by sięgnąć po fachową pomoc. Tato został, kobieta zaś zniknęła za krzewami. Dudnienie powtarzało się ze zmienną siłą, ale bez pomocy nic nie można było zrobić. Tato saperską łopatką oczyścił teren wokół schronowych drzwi z trawy i gruzu. Słyszac pędzącą wojskową furmankę, żołnierze wyrzucili młoty i łomy.

Kowal Zygmunt obejrzał dokoła schron i drzwi. Kazał odsunąć się na bok, wcisnął łom w niewielką szparę, potem wbił go głębiej młotem. Drugi łom wbił podobnie potem jeszcze raz. Podłożył drewno przy samych drzwiach, zrobił duże przełożenie dźwigni, pchnął silnie rękami długi łom. Trzask i drzwi się otworzyły. Zobaczyli grupkę przerażonych i umęczonych ludzi, a ze środka buchnął potworny fetor. Ci ludzie schronili się tam przed Niemcami, ale nie przypuszczali, że drzwi się tak zatrzasną. Była to rodzina z pobliskiej dzielnicy Glinki, małżeństwo, dwoje dzieci i ojciec z żoną, siedemdziesięcioletni staruszkowie. Zaraz żołnierze odwieźli ich do domu, za co zyskali ogromną wdzięczność. Na drugi dzień na apelu trójka żołnierzy, w tym i mój tata, otrzymała od dowódcy wyróżnienie przed całą jednostką, ale też ogłoszony był nowy rozkaz, wzmocnienia 16 Dywizji Mazowieckiej w okolicie Łęczycy, w pobliżu rzeki Bzury.

W gruncie rzeczy było to kilkunastodniowe przemieszczanie się w kierunku południowo-wschodnim. W jego trakcie miało miejsce kilka niebezpiecznych sytuacji. Za Radziejowem zaplanowano nocny przystanek w lesie blisko Jeziora Głuszyńskiego. Znajdowała się tam polana obłożona starym lasem, niezwykle urokliwe miejsce, odpowiednie na organizowanie obozowisk harcerskich. Miejsce to usytuowane było na lekkim wzniesieniu w zatoce odnogi tego pięknego jeziora. Z jednej strony była skalisto-wapienna górką, z której wypływało źródło z czystą wodą nadającą się do picia. Woda wpływała na kamienne koryto, potem strumykiem i do jeziora. Przed przybyciem żołnierzy specjalne służby zwiadowcze dokonały przeglądu terenu, zbierając informacje od mieszkańców, sołtysa, gajowego, rybaków i innych. Przed Radziejowem do znajdujących się tam wojsk dołączyła 12 Brygada Artylerii Lekkiej z Torunia. Czekano na plutony gospodarcze i uzbrojenie. Zgromadziło się wtedy może około tysiąca żołnierzy.

Nocą przed przybyciem polskich wojsk, w których znajdował się tato, dwoje rybaków widziało po północy przepłynięcie od strony Wincentowa dwóch łodzi, które kierowały się w stronę lasu, gdzie planowano zakwaterowanie polskich wojsk. Po przybyciu na miejsce specjalna grupa zwiadowcza sprawdzała to miejsce, ale nic nie wykryto. Trzeba wiedzieć, że Niemcy maksymalnie korzystali ze swojego wojskowego wywiadu i prawdopodobnie dowiedzieli się o przybyciu polskich żołnierzy, co wyniknęło z później uzyskanych informacji.

Umęczeni długim marszem żołnierze położyli się na pierwszy taki nocny wypoczynek. Około pierwszej w nocy wartownicy zgłosili cichy nocny alarm. Z dwóch stron podchodziły niewielkie dwie grupy dywersyjne niemieckich żołnierzy. Jedna miała dokonać rzekomego ataku zbrojnego, a druga w tym czasie miała zainstalować blisko źródła zbiornik z jakimś trującym płynem, który kropelkami miał zatruwać źródłaną wodę. Wiadomo, że skutki dla naszych żołnierzy byłyby tragiczne. Dowódcy polscy zachowali zimną krew i rozdzielili dwa najlepsze plutony zawodowych żołnierzy do cichego zajścia uzbrojonych wrogów, którzy mieli zaatakować granatami polską jednostkę.

Sytuacja była trudna. Z jednej strony licząca pięciu żołnierzy grupa prowokująca, zaś z drugiej strony, od źródelka, troje żołnierzy niemieckich, którzy mieli za zadanie zatruć zbiornik z wodą. Ich działalność miała być sprytnie zakamuflowana mchem i leśnym chrustem. Wielka chwała wartownikom, że odkryli te dwie grupy, co skłoniło polskie dowództwo do efektywnych działań. Do większej grupy padł pierwszy strzał. Cisza. Niemcy nie wiedzieli, skąd on padł, ale zaczęli się powoli wycofywać, czołgając się. Wtedy z dwóch stron padły szybkie strzały. Noc i las rosnących drzew uratowały uciekających Niemców. Nie wiadomo, czy ktoś został ranny, ale i z drugiej strony nastąpił popłoch, bo i tam padły strzały. Niemcy mieli przygotowany plan ucieczki, dlatego im się udało. Po zbiegach pozostały dwa duże pojemniki z trucizną, która została odesłana do specjalnego laboratorium, oraz pięć granatów. Do rana przeszukiwano miejsca nikczemnego planu niemieckich dywersantów.

Tylko dwie doby mieli polscy żołnierze względny spokój przeplatany ćwiczeniami i omawianiem walk militarnych. Ponownie długi przemarsz, nocleg w dzielnym drzewostanie przy Jeziorze Zdrowskim, niedaleko Gostynina. Tam żołnierze mieli dołączyć do Armii Poznań pod dowództwem gen. Kutrzeby, która już toczyła zaciekle walki w tym rejonie, jak i wzdłuż rzeki Bzury. Jak później opowiedział tata, otrzymał tam prawdziwy chrzest bojowy. Zaciągnięta została jedna z liczniejszych dywizji zmotoryzowanych Wehrmachtu. Polscy żołnierze po kilkudniowych walkach z głodem, zimnem i brakiem dobrego uzbrojenia poddali się silniejszemu przeciwnikowi. W tej nierównej walce zginęło kilkudziesięciu żołnierzy z inowrocławskiej brygady piechoty, w tym i serdeczny przyjaciel taty, Marek spod Pakości. Polacy byli wykończeni. Był prawie wieczór, zebrano ich jak stado wystraszonych kur, podzielono na grupy i zarządzono wymarsz.

Szli może dwie godziny. Zatrzymano ich na dużym placu przy drewnianych barakach... Spisano po kolei każdego i przeznaczono do poszczególnych numerowanych baraków. Prycze, ławki, koce, to wasza kwatera... Nikt nie wiedział, gdzie byli, jak długo tu będą, co z nimi tu zrobią. Byli na tyle zmęczeni, że nie mieli sił na jakiegokolwiek rozwiązanie. Wszyscy zasnęli twardym snem. Dopiero rano apel, mycie, kawa, chleb i przydziały prac. Tato i troje innych jeńców dostali rozładunki na bocznicach kolejowych. Teraz wiedzieli, że są koło Pabianice, niedaleko Łodzi. Wszyscy tu zatrzymani jeńcy mieli pewność, że ich pobyt tutaj jest tymczasowy, a co potem, to tylko sam Bóg może wiedzieć. Podejrzenia padły, że zostaną wywiezieni do obozów, na trudne prace budowy czy do pracy w Niemczech. Powoli wyjaśniało się, kto skąd pochodził. Dla taty miłą czy dobrą wiadomością było, że znalazł się jeden człowiek z samych Wronów, o nazwisku Antoni Niestatek, którego osobiście bardzo dobrze znał. Byli też inni z niedalekiego Kwieciszewa, Młynic czy pobliskiego miasteczka Strzelno. Kiedy ma się w otoczeniu kogoś nawet z niedalekiej miejscowości, człowiek odczuwa pewne bezpieczeństwo, pewną bliskość, a nawet wsparcie.

Bliskość miejsca, parafii, gminy to coś bardzo symbolicznego, co umacnia życiową siłę. W bardzo odległym czasie był totem, który łączył człowieka z drugim człowiekiem i z otaczającą go naturą. W tej wojennej aurze zadziałał też mityczny totem, a tak naprawdę to znane jest jego źródło powstania – działanie przez wspólnotę. Wróć w tym miejscu do naszych koszmarnych czasów, do momentu sprzed kilku stron, kiedy to do mamy przyszedł Marian Niestatek, który zdobył informację od zupełnie przypadkowych ludzi, że gdzieś pod Łodzią niemieckie wojska zajęły dwie brygady polskiego wojska, w tym brygadę inowrocławskiej piechoty, i jak to mówią, po nitce do kłębka doszedł do pani Pieczyńskiej, która to po perypetiach – bo musiał udowodnić, że on to Niestatek i jest synem Antoniego – pokazała kartkę od nieznanego człowieka z nazwiskami jej męża i kilku innych, w tym Anton Nestatka, Hainryk Tobisa, a więc duże prawdopodobieństwo, że to był mój ojciec. Marian Niestatek rozmawiał już z rodziną i wszyscy byli zgodni, że potrzeba, aby z kimś jeszcze pojechał rowerem do Pabianic. Wtedy pomyślano o bracie taty, Zdzisławie. Co moja rodzina na to?

– Hm... a ile to kilometrów?

– No może 120, 130... Będzie ze dwa, trzy dni jazdy w jedną stronę. To jedyna możliwość, że można im pomóc.

– Dobrze, panie Niestatek, wieczorem porozmawiam ze Zdzisiem i jego rodzicami – rzekła moja mama.

Zdzisław od razu wyraził zgodę. Dziadek Bartłomiej i babcia Izydorka też, jednak po różnych uszczegółowieniach. Zdzisław, prawie już maturzysta, poszukał jakiejś mapki, pożyczyl lepszy rower od sąsiadów Stachowiczów i w środę wczesnym rankiem ekipa wraz z ekwipunkiem i niewielkimi zapasami prowiantu ruszyła w drogę. Spali po ludziach i raz w stogu słomy, ale w piątek dotarli do łagru pod Pabianicami. Podeszli do dyżurnego w budce. Pokazali swoje dokumenty i zapytali, czy mogliby spotkać się z... Tu podali nazwiska Antoni Niestatek i Henryk Tabisz. Cała procedura trwała może godzinę, nim przyszedł tak zwany *blockdienstoffizier* (blokowy), jeszcze raz sprawdził zgodność. Blokowy wtedy poszedł do taty, powiedział o wizycie młodszego brata i pozwolił im się zobaczyć, ale tylko na odległość i nie tego dnia, a nazajutrz, jeśli *logerlefter* na to zezwoli. Tata po tej niespodziewanej wieści był lekko zszokowany. Jakim cudem jego brat tutaj trafił, skąd się dowiedział, że tato tu jest, jak tutaj przyjechał? Wprost istny cud. Chciał zapytać o żonę, dzieci, rodzinę. W nocy długo nie mógł zasnąć, dopiero nad ranem udało mu się przysnąć oczy.

Rowerowi przybysze poszukali w miasteczku noclegu u pewnego zegarmistrza, który nie tylko ich darmo przenocował, ale znał dobrze język niemiecki i sporo przyjaznych mu Niemców, u których dowiedział się kilku ważnych informacji, na przykład tego, że jeśli jeniec nie jest na tak zwanej czarnej liście obozu, można zwró-

cić się do *lagerlotera* o warunkowe zwolnienie. Pan Karol – tak miał na imię ich życzliwy zegarmistrz – napisał im dwie odrębne prośby. Przy omawianiu sprawy taty pan Karol zauważył nazwisko Salomei Erdman, które jego zdaniem warto było wykorzystać jako dowód, że rodzina miała związki z ludnością niemiecką.

– Napisać nigdy nie zaszkodzi. Niemcy to uważają – powiedział.

Byli bardzo wdzięczni, że pan Karol włożył tyle serca i dobroci w te wszystkie sprawy, a na odchodne powiedzieli:

– Niech was Bóg szczęściem darzy. Jeżeli będziecie musieli jeszcze zostać na noc, to proszę bardzo, wracajcie śmiało.

Nie było dobrych ścieżek rowerowych, więc szli w ten chłodny sobotni dzień do oddalonego może 3 km obozu. Spoglądali na przydrożne zabudowania, ludzi krzątających się po swych obejściach. Nigdzie nie było widać radości życia, spokoju, pogody ducha. Być może każdy miał swój ból. Gdzie się podziała ta nasza polska wolność, siła narodu? Wolność to dar Boży, ale i odpowiedzialność, którą trzeba pielęgnować, jak mówi Święty Tomasz z Akwinu. W tej walce ponieśliśmy klęskę, wolność została nam wydarta przez silniejszego. Teraz pozostała walka o przetrwanie, tożsamość, ratunek polskości.

Prawdziwą charyzmę i drogę pokazał pan Karol, który użyczył swojego domu, doradził, jak postępować, postarał się o papier i napisał podania do obozowego szefa. Teraz przybyszów czekało ewentualne spotkanie. Mieli nadzieję, że to wszystko przyniesie dobry rezultat. Zgłosili na wartowni, że mają prośby do *logerletera* Gernitza. Kazano im czekać w otwartej szopce. Powoli, wraz z upływem czasu, tracili nadzieję na pomyślne zakończenie tej eskapady. Zziębnięci, głodni i załamani, przyglądali się wchodzącym grupom jeńców powracających od ciężkich robót. Zdzisław wypatrywał brata, zaś Marian swojego ojca Antoniego. Marian miał szczęście i zauważył ojca. Krzyknął z radością:

– Witaj, tato!

On też zauważył, że syn go odwiedził. Nie wiedział tylko, czy będą mogli się spotkać. Po ponad trzech godzinach czekania wakt kiwnął na Zdzisława, zaprowadził go do kantoru i kazał czekać. Jeńcy rozsyłani byli do różnych robót, przychodzili też o różnych porach. Zdzisław nie trafił na brata, lecz miał przyjemność spotkać szefa obozu, Gernitza. Był zmieszany przy wejściu, stanął na baczność, potulnie patrzył na szczupłego, jakby normalnego człowieka zza biurka. Niemiec spojrzał surowym wzrokiem na niego i powiedział:

– To wy jesteście bratem tego Heinrika Tabisa?

– No tak – odpowiedział nieśmiało Zdzisław.

– Musicie wiedzieć, że państwo niemieckie potrzebuje wiele rąk do pracy. Nasze państwo jest w trakcie wojny. Prowadzimy walkę z...

Tak mówił jeszcze kilka minut, potem zapytał, czy żona taty to Niemka.

– Nie, Polka, ale ich przeszłości rodzinnej to nie znam.

– Dzisiaj nie możemy dać odpowiedzi, a w przyszłości zobaczymy, jeśli warunki na to pozwolą. My musimy mieć gwarancję, że Polacy będą pracować dla naszej gospodarki.

W tym momencie zawołał jakiegoś urzędnika o imieniu Elis, kazał wyprowadzić Zdzisława i sprowadzić następnego, a był to podróżny kolega Marian Niestatek. Po tej ważnej rozmowie poszli ponownie na wartownię, by wznowić prośbę o widzenie się z najbliższymi. W końcu udało się, ale po ponadgodzinnym wyczekiwaniu, i to tylko przez siatkę i tylko pięć minut. Zdzisław i Marian przekazali pozdrowienia od rodzin. Przyniesione produkty, jak słoiki ze smalcem czy boczek wędzony, mogli oddać w obecności więźniów tylko waktowi. Czy on im to przekazał? Pozostało tajemnicą. Przybysze poinformowali osadzonych o swoich prośbach pozostawionych w biurze szefa obozu i przeprowadzonej z nim rozmowie.

Był już wieczór, kiedy Zdzisław i Marian wyszli z tych „obozowych czeluści”. Nie było innego wyjścia jak wracać do Pabianic, do niezawodnego pana Karola, i prosić ponownie o nocleg. Przywitał ich z entuzjazmem. Był ciekaw przebiegu wizyty w obozie. Po drodze w rzeźnickim sklepie Zdzisław i Marian kupili gryczaną kaszanekę, którą pan Karol przysmażył na cebuli. Była smaczna, a ich wygłodniałe żołądki doczekały się nasycenia. Tego ostatniego wieczoru u pana Karola dowiedzieli się wiele o jego życiu. Już od siedmiu lat był wdowcem, a miał bardzo kochającą żonę Marię i syna Marcelego. Jego najbliższe osoby zabrała gruźlica. Został sam. Też już z ułomnościami, bo w czasie pierwszej wojny światowej nie tylko miał połamane żebra, ale i przebite płuco. Długo by opowiadać o jego przejściach na wojnie i później.

Jedno Wam powiem, gdyby nie ludzie dobrej woli, to by tu dzisiaj mnie nie było, nie miałbym też i tego zawodu, który dał mi chleb i życie. Jestem przekonany, że jeśli dajesz drugiemu pomoc i wsparcie, dajesz pokarm swojej duszy. Jest takie stare powiedzenie: „Pomagasz innym, pomagasz sobie, bo każdy ma coś, co może dać innym”.

Pan Karol mówił, że nieważne, ile masz, ile posiadasz, ale ile dajesz innym i jak się z nimi dzielisz.

Na drugi dzień przybysze obudzili się już po siódmej. Pan Karol właśnie gotował wodę na rumiankową herbatę i podgrzewał kaszanekę na patelni. To była dla Zdzisława i Mariana wzorcowa szkoła dobroci i miłości do drugiego człowieka. Pan Karol pożegnał ich z serdecznością, życząc im szczęśliwej drogi. Dzień nie był im przychylny – suchy, wietrzny, zachodni wiatr wiał im prosto w twarz. Wybrali kierunek na Borysew, Uniejów i Dąbie. Zrobili kilkadziesiąt kilometrów. Gdy zaczęło się ściemniać, byli potwornie zmęczeni. Minęli miasteczko Poddębice. Widzieli, jak przejeżdżają kolumny niemieckich wojsk, chodziły patrole niemieckiej żandarmerii. Aż dziw, że nie zatrzymały przybyłych Polaków. Niepotrzebnie przez te uliczki szli, ale nie mieli wyjścia i z sercem na ramieniu wyjeżdżali z tego piekielka.

Niewielka wieś, Zakrzew. Porozrzucane strzechy. Ponieważ dzień był wietrzny i chłodny, spanie gdziekolwiek było ryzykowne. Trzeba było szukać jakiegoś schronienia, noclegu w budynku. Rzadko porozrzucane domostwa, ale trzeba już było jakieś wybrać. Marian, który miał dwadzieścia cztery lata, powiedział:

– Ja już dalej nie dam rady.

Kawałek od drogi dom. Strzecha z zabudowaniem, a z tyłu budynku ktoś, kuśtykając, chodzi z latarką i nawołuje:

– Pirso dalej, nastęпно tysz, dalej, dalej.

Zbliżyli się z rowerami do zabudowań. Starzec przystanął, spojrzął na nich i spytał:

– A pany to kto?

Zdzisław ostrożnie przybliżył się do starszego człowieka i swym cichym, młodym głosem odpowiedział:

– Moglibyśmy u was przenocować, choćby w stodółce? Jesteśmy bardzo zmęczeni.

Starzec popatrzył na podróżników litościwym wzrokiem. Nic nie mówiąc, doszedł do kamiennych schodów, stanął, opuścił głowę. Podróżni pomyśleli, że teraz wskaże im stodołniane wrota, a on powiedział:

– Postawcie tu swoje rowery. O tu, pod oknem, tu nie ma złodziei.

Otworzył wejściowe drzwi.

– No to wchodźcie do środka, do mnie. Ja tu sam jestem z moim inwentarzem, ale on tu nie mieszka – zażartował.

Pokazał ręką, aby usiedli przy stole pod oknem.

– Sam jestem tylko chwilowo. Synowa pojechała ze swoim synkiem do swojej mamy, bo coś dokucza jej reumatyzm w kolanach. No, powiedzcie mi, gdzie to w tę zawieruchę wojenną się wybieracie? Zaraz nałożę do pieca, wody zagotuję na herbatę, bo przecież jesteście głodni.

– My to jedziemy już do domu – zaczął Marian Niestatek. – Byliśmy w Pabianicach. Tam w obozie niemieckim są nasi bliscy i byliśmy ich odwiedzić. Mieliśmy małą nadzieję, ale jakoś się udało.

Przez dłuższą chwilę na zmianę ze Zdzisławem opowiadali, jakie to perturbacje mieli, zanim zyskali kilkuminutowy przywilej widzenia się. Rzecz jasna, na odległość, za co i tak byli wdzięczni losowi. Gospodarz usiadł na moment na przypieczonym stołeczku i powiedział:

– Ja tu, na tym odludziu, pokaleczony, od czasów tamtej wojny z synową i ośmioma kozami, trzema owcami ciągnę swój żywot. Na razie nas tu Niemcy nie wysiedlają, bo ziemia tu słaba, piaszczysta. Przy stawie łąki. Dla owiec i kóz wystarczy. Ziemia to na ziemniaki, owies i saladerę, na paszę do domowej gadziny ledwo wystarczy. To one nas przy życiu trzymają, bo klientów na kozi ser nie brakuje,

a ostatnio to synowa wytopiła ser z masłem i kminkiem i wyszedł całkiem smaczny produkt. Już chętni się znajdują. Przyniosę zaraz, posmakujecie.

Wyszedł pan Damian, bo tak nazywał się gościnny gospodarz. Wrócił z chustą zawiniętą w rękę.

– Tam, przy budynku, mamy kawałek lodowni, co szczególnie w lecie jest przydatną przechowalnią.

Odwinął chustę i wyłożył trzy kawałki prawie żółtawego sera i trzy grube placki. Jak wyjaśnił, to jego produkt z mąki kukurydzianej. Już herbata gotowa. Nalał każdemu do kubka i zapraszał do jadła. Wronowscy goście byli zafascynowani niespodziewaną gościnnością. Byli też bardzo głodni, a smaki koziego topionego sera nieznanne, ale bardzo smaczne. Przy tej pysznej wieczerzy pan Damian miał okazję opowiedzieć swoje niezwykle przeżycia i boje z pierwszej wojny światowej, jak również z bitwy o Warszawę z 1920 roku z bolszewickim najeźdźcą. Walczył on tam w armii generała Tadeusza Rozwadowskiego. W bitwie pod Cycowem czworo ich dostało się do niewoli. Tam przeżyli gehennę. Próbowano ich zmusić, by zdradzili plany i położenie wojsk polskich. Byli bici, głodzeni, a nawet gwałceni. W tej bolszewickiej kamiennej dziupli połamano panu Damianowi żebra i obito nogę. Cała mu szerniała.

– Było tak – opowiadał. – Zrobiliśmy podstęp. Jednego naszego jeńca ukryliśmy pod kocami i powiedzieliśmy, że chyba wpadł do ubikacyjnego dołu. Doszło do odejścia w bok bolszewickiego żandarma, potem do bijatyki wręcz z innymi żandarmami. Udało się zabrać im broń i uciec. Zuchwały plan szczęśliwie się udał, ale nogę ledwo mi uratowali. Bitwa o Warszawę kosztowała naszą armię ponad dwustu poległych i prawie trzystu pięćdziesięciu rannych. Ja straciłem zdrowie. Wycierpiałem, ale mam poczucie dumy, wywiązania się z obowiązku wobec własnej ojczyzny. Dać wolność własnemu narodowi to zaszczyt, to dar dla naszej Polski.

Przybysze widzieli, jak pan Damian szczycił się swoim chwalebny czynem. Był jakby w uniesieniu, po czym obrócił się na swoim stołeczku, podszedł do szafki, wyciągnął kuferek i z dumą pokazywał odznaczenie nadane mu przez generała Rozwadowskiego.

– Powiem wam, że kiedy przypominam sobie te bitewne przygody, tę waleczność i poświęcenie, a potem zwrot w walce i pogoń za bolszewickim najeźdźcą, to mi się serce kraje. Gdzie my dzisiaj jesteśmy? Brakuje nam drugiego Józefa Piłsudskiego. Brakuje świątłych i odważnych ludzi w Europie. Potworzyły się ugrupowania, partie nacjonalistyczno-faszystowskie, atrapy demokracji wykształciły w społecznościach wiarę w nieomylność władzy, jej doktryn. Teraz widzimy tego efekty. Popatrzenie, jedna nawałnica zaatakowała od zachodu, a dwa tygodnie później nawałnica ze wschodu. Polska nam ginie w oczach. Nie, nie mogę, bo mi serce nie wytrzyma.

Pan Damian był poruszony do granic. Zamilkł na chwilę, wstał, poszedł do sieni po latarkę.

– Boże, przecież wy tacy zmęczeni, a ja tu o takich sprawach.

– Ależ panie Damianie – odezwał się Zdzisław – to bardzo interesujące, co pan opowiada. Ja bardzo cenię polską historię i polskich wielkich bohaterów, jak Kościuszko, ks. Skorupko, Haller czy wspomniany przez pana Józef Piłsudski.

– Tak, to prawda, młody człowieku. Takich ludzi nam potrzeba nie tylko w walce, ale i w dyplomacji, w rządzeniu. Wy, młodzi, winniście wiedzieć i wprowadzić to w walce o prawdziwą i sprawiedliwą przyszłość. Moje motto brzmi: „Żyj tak, aby nikt przez ciebie nie płakał” albo też „Żyj i daj życie innym”. Dość tych mądrości, tej polityki. Niedługo północ, a wy musicie być wyspani.

Z sieni wziął latarkę, wyszedł po schodach na strych. Przyszedł z naręczem owczych skór i powiedział:

– A teraz idziemy do „hotelowego miejsca”.

Kawałek od domu obórka. Pan Damian otworzył oborowe drzwi. Zaleciało ciepłem, ale i zwierzęcym zapachem. Przybyszów dopadł powitalny zwierzęcy pomruk owiec, kóz i konia. Znały przecież swojego pana. Podszedł do gniadej klaczy, poklepał ją po grzbiecie i powiedział:

– Będziesz miała dzisiaj nocnych gości.

Z miejsca owce poczęły szturchać gości swoimi sympatycznymi pyszczkami, a było ich pięć – młode i większy baran. Kozy były dalej oddzielone deskowym płotem. Pod drewnianą ścianą znajdowały się snopy owsianej słomy jako rezerwa ściółkowa. Pan Damian rozwiązał powrósla z dwóch owsianych snopów, rzucił je pod ścianę, a na to owcze skóry i powiedział:

– To tu będzie wasze nocne legowisko. W tym towarzystwie będzie wam się dobrze spało. Mój dziadek, który pochodził z Wileńszczyzny, głosił, że człowiek od czasu do czasu powinien sypiać między zwierzętami dla higieny psychicznej.

Marian wtedy dodał z uśmiechem:

– My przecież ze wsi jesteśmy. Znamy dobrze to środowisko i te klimaty.

– Serdecznie panu dziękujemy – dodał Zdzisław.

Pan Damian na odchodne wyjaśnił:

– Zamykam was na zasuwkę, ale i wy od wewnątrz też w razie czego możecie ją otworzyć.

Gdy gospodarz wyszedł, Zdzisław i Marian rozłożyli owcze skóry, ściągnęli buty, wyciągnęli nogi, okryli się kocami. Odczuli niebiańską ulgę. Spłynęły z nich trudy ciężkiego dnia. Z początku w tym wyjątkowym miejscu słyhać było tylko mruki, mlaskania i postękiwania, ale bez rażących naruszeń ciszy nocnej. W tej aurze zasnęli twardym snem.

Była już ósma rano, gdy obudziło ich pokrzykiwanie i brzęk naczyń. To pan Damian podawał karmę kozim matkom i innym kozom, by móc spokojnie wydoić cztery pozostałe. Dawały one prawie osiem litrów pysznego mleka, którego część

przeznaczał na skwaszenie i ser. Goście wyszli na podwórze. Teraz zobaczyli piękno położenia tego domostwa. Gęsty las, staw, łąki, kanał ze starymi wierzbami. Ale była już pora wyjazdu. Niestety, to był chłodny i pochmurny poranek. Goście podeszli do rowerów, by przymocować swoje bagaże. Zdecydowali też, że za tę wieczorną i nocną przysługę dadzą panu Damianowi dwa razy po 20 zł. Zdzisław wszedł do domu, aby podać zapłatę. Pan Damian zrobił wielkie oczy i rzekł żartem:

– To zwierzęce istoty wyświadczyły wam przysługę, a ja tylko pośredniczyłem.

Zdzisław odpowiedział:

– To niech im pan coś kupi i będziemy kwita.

– Zaraz, zaraz, kwita to będziemy, jak przed dalszą podróżą wypijecie po szklance koziego mleka i zjecie po kawałku kukurydzianych placków.

Zdzisław wyszedł na próg domu i kiwnął na Mariana:

– Pan Damian zaprasza na poranny poczęstunek.

Goście byli pod wrażeniem jego gościnności, a najbardziej jego patriotycznego szacunku do własnej ojczyzny, do Polski. W poznanym panu Damianie nie było jednego grama czegoś, co nie byłoby polskie. To człowiek niepozorny, o wielkim polskim sercu. Później siedli na rowery z poczuciem istnienia dobra. Naszła ich taka refleksja:

– Wokół nas mamy tylu dobrych ludzi, a otacza nas takie zło. Prawdziwy paradoks.

Przed nimi była droga licząca blisko 85 km, przez Uniejów, Dąbie, Konin, Ślesin, Skulsk i Wronowy. Do celu powinni dotrzeć przed godziną siedemnastą, jeśli nie będą mieć jakichś nieprzewidzianych przygód. Mijali wioski małe, większe, w większości opustoszałe. Tylko gdzieniegdzie widniały niewielkie stadka krów wyjadających resztki nizinnych traw. Z przydrożnych drzew wiatr bez przerwy strącał pożółkłe liście i wyścielał im polne drogi i ścieżki. Podróżni momentami stawali w zacisznych miejscach, by złapać oddech, ale sił im nie przybywało. Na dodatek niebo pokrywało się coraz to ciemniejszymi chmurami. Zbliżali się do Ślesina. Już niedaleko, może 20 km, ale dla ich nieprzyzwyczajonych organizmów to był niebotyczny wysiłek. Los ich nie oszczędzał i w ostatniej godzinie rowerowania dopadł ich lodowaty deszcz. Było już szarawo. Na horyzoncie wieś Wronowy. Godzina siedemnasta, więc zrealizowali plan. Byli zmęczeni potwornie, ale w miarę zadowoleni.

Zdzisław pożegnał się z Marianem. Obiecali się spotkać, by opowiedzieć tę trudną podróż, całą tę wyprawę w zaciszu domowej atmosfery. Niestety, to się nie udało. Zdzisław był przekonany, że przekaze bratowej w miarę dobre wieści o mężu. W kuchni siedzieli już tylko rodzice i układali plan na jutrzejszy wyprowadzkowy wyjazd do córki Marysi w Rzeszynie, 8 km od Wronów. Kiedy Zdzisław otworzył drzwi, babcia Izydorka aż podniosła się z wrażenia.

– Boże, synku mój kochany, przybyłeś! Tak żeśmy się martwili o ciebie, czy coś się nie stało. No ściągnij tę katanę, bo jesteś cały przemoczony. Już zaparzam wodę na

herbatę. Teraz już razem zjemy kolację. Opowiadaj, jak tam udała się z Marianem ta wielka rowerowa podróż. Widziałeś się chociaż z Henrykiem?

Podczas tej ostatniej wronowskiej kolacji dziadek Bartłomiej i babcia Izydorka oraz Zdzisław opowiedzieli sobie wszystko. Zdzisław zdał relację z widzenia z moim tatą. Mówił o wspaniałych ludziach, którzy bardzo pomogli im w podróży i wykazali się wielkim sercem.

– Tego, co mnie dotknęło w tej podróży, nie dałaby mi żadna wiedza życia tłumaczona przez najlepszych myślicieli.

Dziadek Bartłomiej potwierdził tę zasadę kształcenia życia i dodał:

– Ale my musimy dokonywać jeszcze trudniejszego wyboru. Jutro zostawiamy nasz dorobek osiągnięty ciężką pracą całej naszej rodziny.

Dziadek Bartłomiej nigdy nie przypisywał sobie żadnych zasług, choć tam była włożona jego solidność, uczciwość i pracowitość.

– Z samego rana włożymy na wóz możliwie wszystko, co do życia będzie potrzebne.

Tak też się stało. Zapakowano prawie wszystkie płody ziemi i jeszcze pięć kur, cztery kaczkę i ulubioną przyjaciółkę dziadka Bartłomieja, suczkę imieniem Zerka. Około jedenastej cała rodzina wraz z dobytkiem i pościelą była na wozie, bo już w południe miał przybyć nowy, niemiecki rządca gospodarstwa, który nazywał się Schymke. Jaki on będzie? – to pytanie i obawa służącego Stefana, który już wskoczył na wóz i mimo swojej gadatliwości cały czas milczał. Usiadł koło swojego dobrodzieja Bartłomieja:

– I co... jedziemy? – zapytał.

– Tak, w imię Ojca i Syna, abyśmy mogli tu wrócić, amen.

Ruszyli w kierunku leśnictwa Wycinki leśną, nierówną, ale krótszą drogą do rzekomo pewniejszego miejsca na ziemi, Rzeszyna. Wszyscy jadący na wozie byli jakby zamrożeni. Myśli mieli porozrzucane gdzieś w przestrzeni, nie wiadomo gdzie. Może tylko dziadek Bartłomiej, który był człowiekiem bardzo pragmatycznym, miał wiarę, że rychło czy późno na swoją ziemię, swoje domostwo wróci. Powiedział o tym mnie, wnukowi, po wojnie, gdy razem jechaliśmy ukosić trawy dla domowej trzody. Dopiero tam, w Rzeszynie, służący Stefan wyłożył, co mu leżało na sercu:

– Gospodarzu Bartłomiej, byliście dla mnie i mojej rodziny dobrym człowiekiem. Nie wiem, czy się jeszcze spotkamy. Wiemy, w jakich czasach przyszło nam żyć. Ja nie mam nic takiego, co mógłbym zostawić w pana sercu i pana rodzinie, zostawić coś dla pamięci.

Sięgnął do kieszeni. Było tam pudełko z dzwoneczkiem z metalu, na którym wygrawerowany był wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

– To mi kupił stryjek, kiedy będąc dzieckiem, pojechałem z nim do Częstochowy na Jasną Górę.

Słyszac to, babcia Izydorka zareagowała:

– To przecież bardzo cenna pamiątka. No my nie możemy tak.

– To nie targ! Ja składam podarek i to jest koniec!

Wtedy dziadek Bartłomiej odpowiedział tak:

– To nie targ!

Wyciągnął z kieszeni dziesięć amerykańskich dolarów i wcisnął je do kieszeni Stefana. W tej smutnej chwili wszyscy się roześmiali, tylko dziadek Bartłomiej spoglądał jeszcze z zalem na konie, spojrział na Stefana i wyszeptał:

– Dbaj o nie.

Stefan wskoczył na wóz, pociągnął za lejce, obrócił głowę i prawie zawołał:

– Niech was Bóg ma w swej opiece.

Ruszył w drogę powrotną do Wronów. Myśli Stefana były płynne jak bańki mydlane, powstawały i znikaly. Nie wiedział, jak będzie z nim, jego rodziną, jaki będzie ten gospodarz Shymke. Wjechał już w leśny dukt. Pagórkowata leśna droga, polne wzniesienia uspokoiły jego wzruszenie. Przyglądał się z zaciekawieniem pięknu leśnej natury. Gęstwinom rosnących świerków, gdzie między konarami prześwitywały jasności. Prrr, konie stanęły. Nie ma się co spieszyć. Z ciekawością poszedł przed siebie, może kilkadziesiąt metrów. Przypuszczał, że to łąka, pole... Wyszedł poza wyrosłe świerki, złamał się chrust pod nogami. W bliskości trzcina, plusk wody, odgłosy wypłoszonego wodnego ptactwa, ale cóż to za ptasi raj wśród tego pięknego widoku. Staw, prawie niewielkie jezioro, a nad nim delikatne widmo wodnej mgiełki. Z bocznego wzniesienia wykladały swoją biel młode wysmukłe brzozy z pożółkлыми już liśćmi, a wśród nich jakby dla ozdoby gdzieniegdzie iglaste świerki i modrzewie. W leśnym runie wydeptane ścieżki do oryginalnej pijalni wszystkich żyjących w tutejszej naturze. W oczach Stefana największe wrażenie zrobiła jednak, położona niedaleko drugiego brzegu, parometrowa wysepka mająca wszystko, co na tym jezioro. Porośnięta ziemia: trzcina z sitowiem, krzewami i nawet zeschlým, pochylonym drzewem, które swoimi rozpostartymi suchymi gałęziami przypominało głowę wielkiego rogatego jelenia. Ile tu piękna w tym ptasim wodnym raj?

– Wiosną będzie tu jeszcze piękniej. Muszę tu przywieźć moją żonę Stefkę i córkę Dorotkę.

Z tą nadzieją wsiał na wóz i ruszył leśnym duktem na Wycinki i do Wronów. Z późniejszych wieści wiadomo, że pod koniec wojny Stefan wraz z rodziną przeniósł się w okolice Orchowa, niedaleko Mogilna, do rodziny żony.

Prawdziwe moje życie, już jako trzytygodniowego wcześniaka, toczyło się w Nowej Wsi, 3 km od Wronów, w troskliwej rodzinie mojej mamy. Babcia moja, Anna Erdman, była już wdową po zmarłym rok wcześniej mężu Andrzeju. Rodzina Erdmanów nie należała do zbyt zamożnych, miała zaledwie kilkuhektarowe gospodarstwo z gruntem odległym o 2 km oraz sześcioro dzieci. Z ogólnych wiadomości o historii

powstania tej wsi wiadomo tylko, że była to osada zasiedlona przez robotników leśnych wyrębujących wielkie drzewa w ostrowskich lasach. Wśród tych borów znaleźli oni kawałek piaszczystej ziemi, gdzie tylko owies, żyto i gdzieś tam ziemniaki obrosły. Osadzie tej nadał nazwę Nowa Wieś w XVI wieku zakon benedyktynów z Gniezna, który stał się zarazem jej właścicielem. Po drugim rozbiórce Polski w 1791 roku Wielkopolskę zasiedliły setki niemieckich osadników, a wśród nich prawdopodobnie była rodzina Erdmanów zamieszkująca okolice miasteczka Orchowo koło Gniezna.

Nie było rzadkością, że członkowie rodzin polskich i niemieckich wiązali się poprzez związki małżeńskie, a takim było prawdopodobnie małżeństwo Anny Wawrzyniak z Gaju z Andreaszem, później Andrzejem, Erdmanem. Jako młodzi małżonkowie kupili niewielkie gospodarstwo w Nowej Wsi. Dokupili ziemi, doczekali się sześciorga dzieci, dobudowali stodołę i budynek gospodarczy. Pod koniec lat trzydziestych XX wieku rodzinę zaczęły dopadać plagi. Najpierw średni syn Tomasz podczas służby wojskowej w Toruniu tak uszkodził nogę, że trzeba było ją amputować. Potem na gruźlicę zachorował Andrzej i umarł w 1938 roku, zaś w następnym roku wybuchła druga wojna światowa, która otwierała trudny okres w życiu całej rodziny Erdmanów.

Kiedy pod koniec października 1939 roku moja mama z dwójką małych dzieci musiała opuścić własne gospodarstwo we Wronowach, ratunkiem zostało rodzinne miejsce w Nowej Wsi. Było ciężko, ale przy rodzinie jako tako bezpiecznie, ale i ta biedna dobroć nie trwała długo. Babcia Anna, u której mieszkaliśmy, również dostała nakaz opuszczenia swojego gospodarstwa, i to w ciągu trzech dni, a my musieliśmy się wyprowadzić razem z nią. Moja mama z dwójką małych dzieci. Krach i upadek na samo dno. Trzeba było znaleźć dla nas jak najszybciej inne pomieszczenie, ale gdzie go szukać, kiedy w wielu domach już mieszkało po kilka rodzin? Całe rodzeństwo mamy rozpieczętowało się po wsi, by szukać jakiegoś kąta. Tylko u Walczaków znaleziono bardzo biedne miejsce w budynku gospodarczym. Pod wieczór przybiegła sąsiadka Ziółkowa i zaoferowała pokoik od strony drogi z osobnym wejściem. Tylko o piecyk musieliśmy się postarać.

– My zabraliśmy córkę z dzieckiem do siebie. Będzie trochę ciasniej, ale co zrobić? W takich czasach musimy sobie pomagać – powiedziała na koniec.

Jeszcze tego wieczoru bracia Franek i Józek zorganizowali materiał w postaci żerdzi, desek i słomy do zrobienia szopki na drewno i króliki oraz lodowni do przechowywania słoików, ziemniaków i warzyw, bo przecież zima za pasem. Te ostatnie parę dni były katastrofalne dla całej rodziny Erdmanów, a gdzie reszta rodziny? Brat mamy Franciszek przypomniał sobie, że jego kolega Edward Kryszak, z którym razem pracowali w lesie i został powołany do wojska i dalej na front, pozostawił żonę Gabrielę z dzieckiem w nieczynnej już bażantarni przy lesie koło majątku Kuśnierz.

– Pojadę do leśniczego, a potem do żony Edwarda i porozmawiam z nimi. Tam pozostały jakieś budynki i szopy.

Przyjechał rowerem pod wieczór, przywiózł dobrą wiadomość.

– Możemy się tam przenieść. Jest to wszystko dość surowe i trzeba to docieplić, ale jest dach nad głową. Nie mamy innego wyjścia. Okupant może nas zapędzić do jakiegoś obozu i załatwi nas na amen. Takie pogłoski chodzą między ludźmi.

Dziś tylko możemy sobie wyobrazić, przed jakimi trudnościami stawała moja mama, wiedząc, że pomoc rodzinna będzie już znikoma, a dla dzieci zostało jej matczyne serce, własna pierś i jakże cenne inne macierzyńskie wartości, jak głaskanie, przytulanie, całowanie, uśmiech, śpiew czy rozmowa z dzieckiem, a jeszcze bardziej kojącym uczuciem dla każdego niemowlaka jest tak zwany chuch czy masowanie rączek, stópki. Ci prości ludzie mieli prosty przekaz dawania miłości i ciepła, ukonjenia dziecięcej wrażliwości. Wszystko to wynagradzało doczesne braki, a brakowało wówczas wszystkiego: ubrań, koszulek, bucików, nawet smoczków i pieluszek, środków higieny, nie mówiąc o zabawkach czy nawet łóżeczku, wózku dziecięcym lub kołysce. Była rzecz najpotrzebniejsza – piecyk do grzania i gotowania.

W Gaju mieszkał najstarszy syn Erdmanów, Stanisław, który gdy dowiedział się o tym problemie, wyjechał w teren i poszukał piecyka, nawet dwufajerkowego wraz z rurami. Ten cenny nabytek sam przywiózł do swojej siostry pod koniec drugiego dnia. Pomógł go również ustawić, podłączyć rurami do komina i uszczelnić gliną, bo przecież dym dla dzieci to bardzo niebezpieczna rzecz. Życzliwi Ziółkowie obiecali też mleczną pomoc, chociaż sami mieli sporą rodzinę z dziećmi, a pomagali też rodzinie po sąsiedzku, przy czym mieli tylko jedną krowę.

Poza codziennymi trudnościami i okupacyjną codziennością istniały inne ludzkie przypadłości, jak choroby, śmierć, kłótnie, różnorakie konflikty, bicie, gwałty czy rozboje. Już w grudniu przyszyły dni mroźne i śnieżne. W ziemnym kopcu zrobionym przez braci Franka i Józka panował regulowany klimat – właściwa temperatura i suchość. Były tam ziemniaki, buraczki, marchew, seler i cebula, a także mąka, kasza i przetwory w słoikach. Nie był to bogaty asortyment, ale wystarczył na życie. Od czasu do czasu udało się dostać parę jajek. Trzeba było kombinować, by zrobić jakąś warzywną potrawkę dla kilkumiesięcznych dzieci, co było nie lada sztuką. Dziś wiemy, że w tych trudnych czasach kobiety nie posiadały takiej wiedzy, jaką mają dzisiaj. Nie było też żadnych środków do nauki szkolnej pomagających zrozumieć, jak i co zrobić, ale kobiety między sobą dzieliły się swoimi doświadczeniami.

Trzeba jeszcze wiedzieć, że na wsi nie było żadnego sklepu, nie istniała też komunikacja. Najbliższy sklep był w Wójcinie – 2,5 km od Nowej Wsi. Okupanci działali bardzo sprawnie, wprowadzając kartki na mleko, chleb, mąkę, cukier i inne produkty. Były to bardzo skromne normy, które przysługiwały tylko na dzieci i można było je wykupić dwa razy w tygodniu, do godziny dziesiątej. W tym czasie, kiedy mama

rano szła do sklepu, córka Ziółkowej miała oko na małego Benka i mnie. Najgorzej było w miesiącach zimowych, gdy drogi były zasypane śniegiem, często nie do przejścia, szczególnie dla kobiety. W dodatku wszędzie panował strach i terror.

Do tych utrapień i niedogodności dochodziła jeszcze moja wątłość, płacliwość i niedożywienie. Dziś, kiedy wspominam te czasy, nie mogę wyjść z podziwu, że ta walka o przeżycie dzieci była tak heroiczna. Obecnie, przypatrując się naszemu krajowi, naszej Europie z wygodami życia, bogactwem, posiadanymi przez społeczeństwa pokojem i wolnością... Och, przepraszam, pisząc tę opowieść, wiem o wojnie w Ukrainie, gdzie wielki orędownik pokoju, Rosja, walczy z narodem ukraińskim, uważając jego państwo za nieistniejące. Nie umiemy docenić i uszanować tak naturalnych ludzkich wartości i przyzwoitych form życia w pokoju, których brak w tych okupacyjnych czasach w tak okrutny sposób umęczał nasze rodziny. Dziś, kiedy wspominam te czasy, nie mogę wyjść z podziwu nad tak wielką odpornością i cierpliwością w walce o byt, o życie. To heroizm w największym wydaniu.